



„Zaklinacz deszczu” — Ryszarda Nasha, w reżyserii Jerzego Krassowskiego. Scenografia Józefa Szajny. Na zdjęciu scena z aktu III — od lewej Starbuck — Jerzy Przybylski i Liza — Anna Lutosławska.
(Do recenzji obok)

Olgierd Jędrzejczyk

TEATR

Chodliwy teatr Ryszarda Nasha

„Nie zgadzam się z tymi, którzy sądzą, że brzydota jest najbardziej chodliwym towarem. Przeciwnie, w naszym zawodzie, gdzie każdą pozycję ocenia się według tego, czy będzie można ją sprzedać, sędzę, że najbardziej poszukiwaną i najtrwalszą wartością jest piękno”. Te słowa Ryszarda Nasha, amerykańskiego dramaturga, którego sztukę pt. „Zaklinacz deszczu” wystawił w reżyserii Jerzego Krassowskiego nowohucki Teatr Ludowy, oddają chyba credo artystyczne twórcy. Nie, to sformułowanie, iż przytoczone dwa zdania Nasha mówią o całym programie twórczym pisarza, nie jest przesadą! Można tylko podziwiać stanowczość autora, który słowa te napisał na długo przed stworzeniem najlepszej chyba swojej sztuki, jaką jest „Zaklinacz deszczu”.

Sztuka jest uroczą mieszaniną sentymentalizmu z naturalistycznymi środkami wyrazu teatralnego. Przybyły do zagrody amerykańskiego farmera Starbuck, szczeniwy oszust, a równocześnie człowiek o gołębiu sercu, czuły na piękno poetyckie — obiecuje „za jedne 100 dolarów” sprowadzenie deszczu. Deszcz jest potrzebny tak, jak potrzebny jest mąż córce farmera Curry — Lizie. I deszcz i mąż ratują od nieszczęścia rodzinę farmerską. Deszcz daje nadzieję urodzaju, mąż dla Lizy ratuje 27-letnią dziewczynę przed kompleksem staropanieństwa. Papa Curry i jego dwaj synowie: Jim, typowy amerykański „dzolier”, który ma możliwość uwieść pannę z samochodem oraz Noach, wyrachowany dusigrosz i domowy buchalter — kochają bardzo Lizę. Nash pisze o tym wszystkim z uśmiechem pobłażania, w swym uśmiechu przypomina bardzo... Prusa. Bohaterowie poetyckiej komedii amerykańskiej pracują ciężko na swoim polu, przy czym wydatek studencki na zapłacenie wesołego oszusta nie stanowi dla nich specjalnego wydarzenia. W sztuce czuje się cały czas obecność pocucia względnego dostatku — chociaż grozi im wszystkim brak urodzaju, nikt specjalnie nie traci humoru. A jednak... jednak deszcz jest potrzebny. I chociaż wszyscy w rodzinie Curry zdają sobie sprawę, że Starbuck deszczu nie sprowadzi — wiedzą doskonale, iż równocześnie ten człowiek może się stać mężem Lizy. Oczywiście nie zgadza się na to tylko Noach. Ale ojciec „przyzwala”, i widzi naprawdę wzruszony całą tą sentymentalną historią rozgrywającą się w naturalistycznej scenerii farmerskiego domu, słyszy piękną rozmowę Starbucka z Lizą:

Starbuck: A teraz powiedz „jestem ładna”...

Liza (z wysiłkiem): Jestem... jestem. Nie mogę!

Starbuck: Mów, mów, Lizo!

Liza: Jestem... ładna.

Starbuck: Jeszcze raz!

Liza (z lekkim okrzykiem): Ładna!

Starbuck: Mów jeszcze raz — i uwierz w to, co mówisz!

Liza (z egzaltacją): Jestem ładna! Jestem ładna! Jestem ładna!

Tak, Nash wyraźnie podkreśla w „Zaklinaczu deszczu”, że wewnętrzne przekonanie, wiara w słusność własnych słów pozwala człowiekowi na właściwy „stosunek do rzeczywistości”.

Trzeba przyznać, że karkołomne, istic westernowskie chwytły filmowe pod koniec „Zaklinacza deszczu” budzą w widowni zdumienie i... oczywiście zainteresowanie. Już, już wydaje się, że Liza ucieknie z Starbuckiem. I w końcu wybiera zastępcę szeryfa File. Ten zaintrygowany, ponury człowiek po raz pierwszy w życiu prosi kobietę o pozostanie przy nim. Na dodatek nieoczekiwanie spada deszcz...

Teatr Ludowy zrealizował sztukę Nasha zgodnie z tekstem. To znaczy, że nie wyszedł poza propozycje filozoficzne Nasha — aktorzy są zarówno sentymentalni, jak i wyrachowani. To nie tylko Noach jest dobrym buchalterem. Papa Curry i jego pupil Jim wybierając drogę cichej zgody na małżeństwo Lizy ze Starbuckiem będą zadowoleni również ze związku dziewczyny z Filem. E. Rączkowski był właśnie taki „wyrachowany”. Celem jego rachunku było szczęście córki. Tak samo jak młodzieńczy Jim, który w wykonaniu F. Matysika był jedną z lepszych ról przedstawienia. Matysik to doskonały aktor charakterystyczny, dobrze więc, że ta dobra rola została powierzona temu ambitnemu artyście. W. Pawłowicz jako Noach był prosto z kantoru bogatego farmera. Uważam, że jego oschłość, pewna kanciastość dobrze świadczyła o zrozumieniu przez aktora tej trudnej roli. Lutosławska — naprawdę zachwycała! Rola jest bardzo trudna — trzeba cały czas uważać, żeby z Lizy nie zrobić kompletnej idiotki. Pewna sztywność w pierwszych scenach przedstawienia, która topnieje pod wpływem zalotów Starbucka, była tu konieczna. Lutosławska pokazała cały liryzm postaci — dziewczyny, która tęskni za wielką miłością. No i oczywiście Przybylski. Wiele razy miałem już okazję pisać o tym aktorze w samych superlatywach. I tym razem muszę zrobić to samo. Jego Starbuck to był doprawdy „sakramencki” kowboj. A przy tym jak prawdziwie brzmią w ustach Przybylskiego słowa o baśniowej krainie marzenia! Trzeba zaiste mistrzostwa, by w roli tej podkreślić rozpoetyzowanie zwykłego oszusta...

Z tego pobieżnego przeglądu ról widać wyraźnie, że Jerzy Krassowski odczytując właściwie sztukę Nasha, dał równocześnie aktorom możliwość zademonstrowania wszystkich najlepszych swoich umiejętności. Jest to przypadek na naszych scenach dość rzadki. Na ogół bywa tak — że reżyser do Sasa, a aktorzy do lasa. Ponieważ spotykamy się z miłym wyjątkiem trzeba go podkreślić. A jeśli przy tym wszystkim Józef Szajna daje dekoracje bardzo proste, zrozumiałe, podkreślające szarość codziennej pracy farmerskiej — możemy powiedzieć, że nowohucki teatr po paru oczywistych potknięciach znów wszedł na drogę interesujących, zrozumiałych przedstawień.

STEFAN OTWINOWSKI

DE SZCZ,
POEZJA
I TWÓRCZY
ZESPÓŁ...

Wobec zupełnie niezwyklej inwazji obcych, wybitnych przedstawień i koncertów zaniedbaliśmy własne podwórko artystyczne. Dopiero po wielu, wielu dniach od premiery wybrałem się do Teatru Ludowego na granego już poprzednio w Warszawie „Zaklinacza deszczu”... N. Richard Nash, autor amerykański, darzy nas komedią poetycką — tak swoją sztukę określa i autor, i tłumaczka. Zresztą dobra tłumaczka, Irena Babel. Komedia? Nie od razu godzimy się z tym określeniem. I temat suszy, i temat „niekochanej” wciągają nas raczej w dramat atmosfery. Klimat jest nadrzędnym sprawcą zdarzeń, rozmów i myśli bohaterów. Bogaty Zachód nawiedza długotrwała posucha, trawy tracą swe soki, bydło choruje, zdycha, ludzie wyzbyci energii, czekają na cud. Znajdujemy się na fermie ojca Curry, człowieka dobrego, mądrego... Mądrego aż do granic pięknej ludzkiej wyrozumiałości. Wyrozumiała jest wtedy, kiedy zgadza się współdziałać i opłacać szalbierstwa Starbucka, wyrozumiała jest i wtedy, gdy godzi się na krótki beznadziejny romans córki. Beznadziejny?... Nie, nie można streszczać tej misternej roboty autora — zobaczcie bowiem w teatrze dawno nie widziany uroczy wątek liryczny. A zobaczcie koniecznie — zaraz, jak tylko Skuszanka wróci z Paryża. Powiem tylko od razu, że ojca gra Rączkowski. I jest to chyba najlepsza rola tego utalentowanego i na wskroś oryginalnego aktora... A więc dramat atmosfery o tym możemy mówić, bo to już nie tyle intryga, ile poetyka autora. Klimat w znaczeniu dosłownym był w początku tej sztuki. Z trudnego stosunku człowieka do przyrody płynie filozofia bohaterów — filozofia niejako: społeczna. Ale jest i klimat indywidu-

alny postaci. Samotny, ponury File — skrzywdzony przez własne cechy charakteru, czy może przez zły los? Biedna, oczekująca Liza — niespokojny Bill, z duszą artysty, a bez talentu artysty...

Zobaczyć można w tej sztuce nie tylko dziwnych, choć prostych ludzi, ale nawet i dziwne zjawiska z pogranicza cudu. Kiedy w finale komedii — tak, pod koniec przedstawienia wydaje nam się wreszcie słuszną tą nazwą: komedia — zaczyna działać realnie zaklęcie Billa, cieszymy się wraz z bohaterem z sukcesu szalbierstwa, który mógł być także sukcesem natchnienia lub wiary. A więc komedia poetycka — trochę anachronistyczna, a i bardzo autentyczna w wyrazie autorskiego talentu. Przypomina się nam kochany, stary Szaniawski, a i młody, najmłodszy Harasymowicz... Ba, tylko czy Harasymowicz nauczył się kiedyś operować aż tak zgrabnym i dowcipnym dialogiem! Idźcie na to przedstawienie, skoro tylko Skuszanka wróci z Paryża. Idźcie także dlatego, że sztuka Nasha jest zagrana świetnie przez cały zespół: i przez Lutosławską, i przez Przybyl-

skiego, i przez Szanieckiego, i przez Matysika... Tak, przez cały zespół. Reżyseria Krasowskiego wydobyła mocno ów gęsty, upalny, przyrodniczy klimat sztuki — ale nie uroniła nic z poetyckich zamysłów autora. Szajna dał tym razem piękne, ale niemal naturalistyczne dekoracje i kostiumy. Niemal! Bo znowu nie tak zupełnie... Na drewnianym zwykłym pokryciu wnętrza wisi lampa naftowa — ale jak wisi! Żeby ją zapalić trzeba by wejść na wysoką drabinę. Ot, co znaczy artysta z charakterem!

Sztuka „trafiona” bardzo w polską wyobraźnię widza. Sala wypełniona publicznością — gdzieś tam tylko wolne krzesło. W kilka tygodni po premierze. Czy kierownictwo Teatru Ludowego po raz pierwszy spotyka się z praktycznym uznaniem swej publiczności? Na pewno nie po raz pierwszy... Skąd znowu ta nienowa dyskusja na temat Skuszanki, jej stylu, i frekwencji w jej teatrze? Skąd? Chciałoby się odpowiedzieć po prostu: z odległości! Jedni piszą, wybrzydają, ponieważ dalekie są im wszelkie sprawy twórczej sztuki, inni — ponieważ... Nie, tym innym odpowiem inaczej: koledzy, koledzy, mniej byćście dyskutowali, a więcej jeździli! Wtedy zobaczylibyście, jak to w Teatrze Ludowym bywa, mimo wszystko, dużo ludzi, a jaka pustka i nuda strasza inne widownie! Chętnie oprowadzę Was także po widowniach „niedyskutowanych” — krakowskich, warszawskich... Dajcie spokój Skuszance, Krasowskiemu, Szajnii, Rączkowskiemu, Przybylskiemu, zespołowi, który, jak chyba żaden inny w Polsce, pracuje naprawdę twórczo i z pożytkiem dla widzów!

STEFAN OTWINOWSKI

Henryk Vogler

Ze sceny

Gdzieś daleko w Ameryce...

Zwracano już nieraz uwagę na pewne podobieństwa między narodami Stanów Zjednoczonych a narodami Związku Radzieckiego, podobieństwa w umysłowości, obyczajowości, w upodobaniach, szerokim mas jednego i drugiego kraju. W obu tych krajach — choć oczywiście w każdym innymi sposobami — te właśnie szerokie masy dochodzą po raz pierwszy w historii do głosu, tworząc własny nowy styl życia i nową kulturę. Są one — jak, dzieci — prymitywne, ale proste i szczerze, nieco brutalne, ale uczuciowe, łatwo ulegające zbiorowej i jednostkowej sugestii i autorytetowi, ale zarazem pełne ufności w siebie i swoją własną siłę.

Ta paralela przychodzi znowu na myśl podczas premiery „Zaklinacza deszczu” N. Richarda Nasha w Teatrze Ludowym w Nowej Hucie. Komedia poetycka z 1954 roku, światowy sukces teatralny — i filmowy — młodego amerykańskiego pisarza ma bowiem w sobie coś przypominającego atmosferę popularnych, optymistycznych utworów radzieckich. Gdzieś w odległej (już chciałem napisać: tajdze, ale przecież chodzi tu raczej o pampasy, o jakieś rancho czy farmę) — otóż w tej odległej, prawie pustynnej miejscowości toczy się życie proste, trochę prymitywne i barbarzyńskie, ale nie pozbawione surowego, wewnętrznego uroku. Przyroda jest tu związana z człowiekiem, człowiek z przyrodą. Susza nawiedziła ten zakątek, ziemia dyszy od spiekoty spragniona deszczu — i tak samo w rodzinie Curry niezamężna, brzydka dziewczyna spragniona jest ciepła, uczucia, miłości. W tym świecie niewiele się mówi, człowiek komunikuje się z człowiekiem oschle, brutalnie, rzeczowo, ale pod tą zewnętrzna powierzchnią prozy i d z i a ł a n i a — kryje się prawie powszechne oczekiwanie czegoś innego, nowego, lepszego, co uzdusi tę oschłość, kryje się tęsknota do p o e z j i.

I ta poezja ucieleśnia się wreszcie. Ucieleśnia się w postaci — szarlatana, włóczęgi i oszusta, który wyłudza pieniądze od okolicznych mieszkańców obiecując im sprowadzenie mocą swoich magicznych praktyk — deszczu. Oszust zostaje w końcu zdemaskowany. Ale magia poezji podziałała. Dziewczyna doczekała się miłości i mężczyzny, rodzina spokoju, wyschła ziemia deszczu.

Jest w tej komedii ton i charakter współczesnej ludowości. Ludowe wzruszenie, ludowe piękno mieści się bowiem dziś nie w przyłanych, gładkich, cukierkowatych postaciach i sytuacji z epoki XVIII-wiecznego sentymentalizmu, czy XIX-wiecznego melodramatu, ale w brzydocie, w szarości, w codzienności często nawet w znajdowaniu się poza ramami prawa i mieszczańskiej moralności. Przykładem tego nowego rodzaju bohatera, nosiciela specyficznego gatunku poezji i piękna jest chyba postać Chaplina twórcy nowego typu ludowej romantyki.

Podobnie jak w średniowiecznej legendzie zwykły biedny kuglarz służył Matce Boskiej jak umiał, to znaczy swoim kuglarstwem, i ofiarą jego przyjęcia była na równi z najcenniejszymi darami innych — tak samo i tutaj biedny włóczęga służy Poezji jak umie, to znaczy swoim naiwnym zapalem, dziecięcą entuzjastycznym zapatrzeniem się w własny świat. Bill Starbuck, zaklinacz deszczu, jest — zapewne — szalbierzem, ale szalbierstwo jest

dla niego sztuką, improwizacją, natchnieniem. To już nie fach, to misja. I dlatego płynie przezeń strumień piękności, chociażby nawet on sam nie był pięknością, a Muza Poezji przyjmuje na pewno taskawie jego mizerny hold.

Gdyby ktoś chciał wartość tego utworu oceniać w sztywnych konwencjach realistycznych, znalazłby w nim bardzo wiele naiwności zarówno sytuacyjnych jak i psychologicznych. Ale jest to naiwność szlachetna i uroczą, naiwność, która właśnie stanowi istotną — i przydającą dziełu swoistego smaku — cechę gatunku, podobnie jak naiwność niektórych utworów literatury radzieckiej, których bohaterowie są niezłomni, mądrzy i przewyciężający wszelkie trudności, na wzór bohaterów z bajek dla dzieci. Utwór Nasha przypomina też pod tym względem niejedną z tzw. sztuk produkcyjnych, z tą różnicą, że w tych ostatnich urodzaj sprowadza nie zaklinacz deszczu, ale sekretarz partii.

Wydaje się, że tym wyborem repertuarowym i tym przedstawieniem teatr Nowej Huty trafnie kontynuuje linię, której wykładnikiem był np. niedawno „Liliom”, a która nareszcie uzasadnia nazwę: Teatru Ludowego. Ów świat prostych, naiwnych, ale silnych wzruszeń, ów świat ludzi nie zawsze najbardziej wzorowych, ale zawsze — nawet w swoich ryzykownych postępkach — szczerych jak dzieci — jest światem i środowiskiem chyba najbliższym społeczności nowego robotniczego miasta, a przy tym — mimo że atmosfera daleka jest tu od podręcznikowego dydaktyzmu — oddziałującym optymistycznie i w jak najbardziej humanistycznym sensie — wychowawczo.

Reżyseria Jerzego Krasowskiego rezygnowała z tak częstych w przedstawieniach Skuszanek ekspresyjności formalnej, z podporządkowania elementów teatralnych filozofii i inscenizatora, z tego wszystkiego, co bywało tu często nadmiernie, choć zawsze konsekwentnie rozbudowaną koncepcją i konstrukcją i n t e l e k t u a l n ą. Przedstawienie Krasowskiego było na ogół ładnym, skromnym — chciałoby się powiedzieć: normalnym — teatrem. Może tylko było w nim za mało tego zdecydowania, tej bezkompromisowości, którą odznaczają się zwykle właśnie przedstawienia Skuszanek. Krasowski jak gdyby wahał się pomiędzy realistyczną obserwacją a poetycką umownością. File, zastępca szeryfa używał imaginacyjnej igły i nitki, ale siniak pod okiem Jima Curry, po otrzymaniu przezeń „prawego prostego”, wymalowany był z wstrząsającą dokładnością, niemal jak w Grand Guignol. Magiczne linie kredą zalecone przez „zaklinacza” były niewidzialne, ale końcowy deszcz spadał „prawdziwymi”, rzęsiстыми strugami, jak u autentycznego Antoine’a. Scenografia Józefa Szajny, solidna w fakturze, niewiele jednak miała w sobie a t m o s f e r y, być może kolorystycznie nie była zdecydowana na tyle, aby stworzyć sugestię piekielnej suszy wiszącej nad całym tym światem, sugestię dławiącego klimatu duszności, po której musi przejść wyładowanie.

Jeżeli chodzi o wykonawców, warto z satysfakcją stwierdzić stały rozwój indywidualności aktorskiej Edwarda Rączkowskiego. Jest to aktor, u którego zespół środków wyrazu nie poszerza się w zasadzie, środki te są nadal dość skromne, można by nawet powiedzieć: ubogie i jednostajne. Ale nie poszerzając się, z każdą nową rolą pogłębiają się one i jakby oczyszczają, tak, że ich mechaniczna, prawie marionetkowa ograniczoność, bardzo specyficzna, wazutka właściwie, skala głosu — tworzą już nawet pewną filozofię, pewną symbolikę gry.

Z innych aktorów przedstawienia wymienić trzeba przede wszystkim Ferdynanda Matysika (Jim Curry), chłopaka o żywiołowej, rażącej wprost bezpośredniości i naturalności. Jerzy Przybylski nie ma — wydaje mi się — najszerzej sfery warunków na odtworzenie tytułowej postaci. Jego inklinacje charakterystyczne (z niektórymi akcentami i „zagrywkami” już niemal w stylu Kurnakowicza) nadawały pewnym partiom tej roli wiele soczystej barwy. Ale w całości zabrakło jej całej umownej poetyckości, natchnienia, romantyzmu, owego nieodpartego w swej elektryzującej mocy uwodźcilstwa. Anna Lutosławska mimo wysiłków nie potrafiła się przeobrazić w brzydką dziewczynę. Rzetelne i udane aktorsko postacie Noaha Curry i zastępcy szeryfa stworzyli Wł. Pawłowicz i T. Szaniecki. Szeryfa grał T. Luberański.

SŁOWO POWSZECHNE



DZIŚ
6
STR.

ROK XII

PISMO CODZIENNE

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Warszawa, Mokotowska 43, tel. 860-11

CENA 50 GR.

PONIEDZIAŁEK, 5 MAJA 1958 R.

NR 106 (3642)

Amerykanin w Nowej Hucie czyli »Zaklinacz deszczu« w Teatrze Ludowym



Liza — Anna Lutosławska. Starbuck — Jerzy Przybylski

Ci, którzy opowiadają o pustej wiosni u Skuszanki, powinni teraz pojechać do Nowej Huty. Odejdą od kasy z niczym, bilety są wyprzedane. Efektów pracy Skuszanki nie można ocenić bywając tylko na premierach prasowych. Dopiero zwykłe przedstawienie przekonuje, że dwie trzecie całości to mieszkańcy Nowej Huty. Przeważają kobiety. Młodsze ubrane są modnie, nawet w worki, starsze siedzą na sali w chusteczkach, których jak w kościele nie zdejmą w czasie przedstawienia. Przy mnie siedzi jak przymurowany młody człowiek, który sądząc z reakcji na gong i podniesienie kurtyny, jest w teatrze po raz pierwszy. Po pierwszym akcie się dzi oszołomiony, po następnych z zapalem bije brawo. Można być spokojnym, ten widz powróci jeszcze nieraz do teatru.

„Zaklinacz deszczu” pisarza amerykańskiego N. R. Nasha jest komedią poetycką. Oszalałymi sukcesem jaki przyniósł autorowi „Zaklinacz” w Ameryce i na zachodzie Europy, powtarza się na małą skalę w Polsce. Sztuka ta na pewno obejdzie większość naszych scen. Widz mniej wyrobiony zobaczy historię brzydkiej dziewczyny, której miłość mężczyzny przynosi wiarę we własną urodę i w szczęście. Bardziej wyrobiony — zastanowi się nad problemem „widzenia świata”, który jest „nie do przyjęcia” dla marzyciela Starbucka, pięk-

ny dla brzydkiej Lizy i brzydki dla rozsądnego Noana. Zaklinacz deszczu, który reprezentuje w sztuce element fantazji i cudowności, wkracza do domu przeciętnej amerykańskiej rodziny. W ciągu 24 godzin na farmie, gdzie latami nic się nie działo, następują zasadnicze zmiany w losie mieszkańców. Zaklinacz deszczu odejdzie znowu w świat, ale życie na farmie będzie już inne.

Reżyser Jerzy Krassowski i scenograf Józef Szajna dali nareszcie nie satyryczny obraz Ameryki. Szerokie kowbojskie kapelusze, srebrne gwiazdy na bluzach szeryfów i z wdziękiem trzymane rewolwery przypominają romantyczną atmosferę westerów. Krassowski nadał przedstawieniu żywe tempo, pozostawiając jednak czas na zastanowienie się nad „czarami” Starbucka, na uchwytnie nieporadnie wypowiedzianych, mądrych myśli starego Curryego. Gra aktorów jak zwykle w Teatrze Ludowym na wyównanym i bardzo wysokim poziomie. Brzydką Lizę gra słiczna Anna Lutosławska. Liza jest śmieszna, sztywną dziewczyną o spleśnianych ruchach, a kiedy zaczyna się wdzięczyc i kokietować naśladując inne dziewczęta, widzimy ze uroda Lizy to po prostu katastrofa. Dopiero w scenie w składziku, gdy zaklinacz deszczu każe jej powtarzać „jestem ładna”, Lutosławska bez zmiany charakterystyki, zaledwie rozpuściwszy włosy, na oczach widzów staje się słiczną dziewczyną. Zmieniają się jej ruchy, uśmiech, postać — Liza staje się kimś zupełnie innym. Łagodnego, wyrozumiałego tatę Curry gra Edward Rączkowski. O wiele mniejszy od swoich dorosłych synów, chodzi po scenie drobnym kroczkiem i wypowiada trochę się jakając swoje złote myśli. — Tak bardzo ciesz się było „w porządku”, że zapominasz żeby było „dobre” — mówi do Noana i otrzymuje od widowni gorące, pełne zachwyty brawa. Rozsądnym, praktycznym Noahem był Władysław Pawłowicz, a Ryszard Kotas gra młodszego brata, Jima, który z uległego, pocztowego chłopca zmienia się w mężczyznę. Tytułową rolę zaklinacza deszczu, Billa Starbucka gra Jerzy Przybylski. Jest to aktor znakomity i każda jego rola na długo pozostaje w pamięci widzów. Jego Starbuck, starszy i nieładny, urzeka swadą i fantazją, blagą i marzycielstwem, dobrocią i głębokim zrozumieniem ludzi. Starbuck wzrusza najmocniej, kiedy odzyskując ochronne kłamstwa pokazuje dramat marzyciela, który nie może znaleźć sobie miejsca w otaczającym go świecie, kiedy pragnie paru normalnych, szczęśliwych dni na farmie. Poszukiwany przez szeryfa „zaklinacz deszczu” ucieka, traci Lizę, ale po raz pierwszy — udaje mu się spowodować deszcz. Przybylski schodzi ze sceny wzruszająco, dziecinnie szczęśliwy.

„Zaklinacz deszczu” to potwierdzenie wysokiego poziomu Teatru Ludowego, który reprezentować nas będzie w Teatrze Narodów w Paryżu.

AMERYKAŃSKI DRAMAT

KAZIMIERZ BROŃCZYK

PORÓWNUJĄC z sobą — w sposób nawet jak najbardziej ogólny — awangardowy dramat zachodnio-europejski ze współczesnym amerykańskim, można stwierdzić, że ten ostatni jest na pewno bardziej optymistyczny, a także i realistyczniejszy w swej formie artystycznej.

Nie chcę twierdzić, co lepsze dzisiaj w teatrze: realizm Williamsa lub jego współczesnego anglosaskiego kolegi T. Rattigana,

czy realizm Dürrenmatta, albo symbolika Becketta. Przyjawszy nawet równy ciężar gatunkowy talentu autorów, nie umiałbym także powiedzieć, co mi się bardziej podoba: „Wizyta starszej Pani”, czy „Tramwaj zwany pożądaniem”.

Co najwyżej można twierdzić, że sztuka realistyczna bywa przeważnie przyjmowana przez opinię powszechną lepiej niż często męcząca i przytłaczająca meta-

fizyka sur — i, po prostu, nierealistyczna. Stąd zresztą wiecznотrwale powodzenie sztuk klasycznych. Wobec protestu i buntu przeciw rzeczywistości, tak przez nowoczesny dramat akcentowanej, człowiek odczuwa potrzebę odpoczynku na twardym gruncie równowagi.

Odbiciem owej potrzeby w sztuce jest realizm, który raczej stwierdza aniżeli postuluje, raczej prezentuje fakty, dostępne zmy-

słowemu poznaniu, aniżeli uogólnia ich sens metafizyczny.

Odbiciem tej potrzeby jest także w sztuce optymizm.

Przykładem takiego upragnionego optymizmu jest twórczość Thorntona Wildera. Autor „Naszego miasta” wierzy w żywotność natury ludzkiej, nawiązuje do obliczu najgorszych katastrof; wierzy w sens rodziny, pojmowanej nie tylko jako konieczna komórka organizmu społecznego, ale i jako źródło ludzkiej radości. U Nasha — autora „Zaklinacza deszczu” — spostrzegamy prawie to samo.

Powodzenie „Zaklinacza deszczu” w Warszawie i Krakowie (Nowa Huta) świadczy, jak bardzo publiczność nasza spragniona jest takich właśnie krzepiących widowisk. Nash wydobywa optymistyczny ton wymienionej sztuki bardzo prostymi środkami, choć w sposób dość paradoksalny, bo nosicielem idei jest tu, *ad oculos* widza, wędrowny wioskowy ośzust Bill, wydrwigrosz, trudniący

się między innymi, w czasie posuchy, sprowadzaniem deszczu — za 100 dolarów gotówką. Postać Billa, na pół baśniowego — niezwykle barwnego w rysunku, szczególnie odbija na tle szarzyzny codziennego życia amerykańskich farmerów. Wkracza w to życie, jak gdyby pochodziła z innego świata, gdy przecież związana jest z naszym jak najściślej. Przynosi z sobą wiarę w cud i narzuca ją trzeźwym z gruntu umysłem wieśniaków — co prawda wymęczonych długim beczynnym wyczekiowaniem deszczu. Przynosi ludziom coś więcej, bo wiarę w ich własną wartość; mało atrakcyjna fizycznie córka farmera, Liza Curry, gnębiona urazem, że nie może się podobać mężczyznom, u wierzy pod wpływem słów Billa, że „jest śliczna” i znajduje szczęście w miłości.

W ten sposób pospolity dom pospolitych Currych, gdzie „ludzie drapią się po głowie, zdejmują buty, heblują drzewo i szorują garnki”, staje się „miejs-

cem, gdzie rodzi się proste, bezpośrednie piękno” (cytat z postłowia do omawianej sztuki w tłum. I. Babel). Jest światem dostrzeganym „bardzo głęboko przez małe soczewki, przez filtr uczucia” (tamże). Przez uczucie sympatii dla każdego człowieka. Widz wychodzi z teatru pod urokiem jak gdyby bajki dla dorosłych, jak po wysłuchaniu „Złotej karety” Leonowa, jak po serii zastrzyków duchowej multiwitaminy. Egzotyka dobroci w epoce krematoriów i widma wojny atomowej.

„Zaklinacz deszczu” w teatrze Skuszanki był jednym z najlepszych spektakli tej śmiałej i twórczej sceny. Reżyser I. Krasowski poszedł na maksymalną naturalność, można by powiedzieć: powszedniość realistycznego słowa i gestu, po to, aby tym ostrzej wystąpił ów bajkowy charakter dramatu. Wybili się zwłaszcza trzej aktorzy: A. Lutosławska jako Liza, J. Przybylski w roli tytułowej i E. Rączkowski w roli ojca.

„ZAKLINACZ DESZCZU”

Jest upał. Od dawna nie spada ani jedna kropla deszczu. Obszary uprawne i łąki zamieniają się w pustynie, a bydło pada na pastwiskach. Susza przybiera rozmiary klęski apokaliptycznej, wobec której człowiek czuje się bezsilny. Wydaje się, że słońce to rozżarzona kula, która łąda chwila eksploduje — jak próbują prorokować niektórzy farmerzy. Dni są upalne i beznadziejne, a noce duszne, niespokojne...

W tym czasie — na tle sceny — jakby żywcem wyjętej z powieści Caldwell, Faulknera lub Steinbecka — w okolicy nawiedzanej przez suszę, pojawia się człowiek, który twierdzi, że potrafi sprowadzić deszcz. Wymaga jednak 100 dolarów za liczkę. Ba, twierdzi nawet, że za tę sumę pieniędzy farmerzy mogą sobie wybrać rodzaj deszczu — kapusniaczek, ulewę, burzę z piorunami, tornado, a nawet potop. Jego oszustwo jest natrętne i oczywiste. Wszyscy o tym wiedzą, a jednak — kpiąc lub złorzecząc — wierzą mu. Jest to ostatni punkt oparcia dla ich zmęczonych psychiki. Zaklinacz deszczu otrzymuje swoje 100 dolarów.

Nie susza jest jednak naczelnym konfliktem tej historii. Jest jeszcze druga strona problemu, która po części usprawiedliwia mieszkańców farmy zamieszkałej przez ród Curry — gdzie zjawili się zaklinacz deszczu. Ta druga strona to jaskrawo skontrowersowane charaktery mieszkańców farmy i jedna aktualna troska mierzona różnymi miarami. Troska o niezamężną, młodą kobietę rządu Curry — pannę Lizę.

„Ludzie z doświadczeniem ojca Curry — pisze autor — wiedzą, że do nieba trzeba mieć cierpliwość. Wiedzą, że ziemia nie wysycha na zawsze i że któregoś dnia obudzi ich zieleni poranka. Miodzi ludzie w rodzaju jego córki Lizy nie mają takiej pewności. Mimo całego rozsądku liczą tylko na spadające gwiazdy i mają nadzieję...”

Bo Liza jest brzydka. Chmury na niebie potrafią zakończyć okres suszy, ale co jest w stanie uczynić Lizę piękną, piękną i szczęśliwą, rozproszyć widmo starego panienstwa i dać jej prawdziwą miłość?... Liza przestaje wierzyć w siebie. Traci nawet ostatnią nadzieję na owe „spadające gwiazdy”, kiedy miłość jej odrzuca jedynego człowieka, którego uwielbia.

Wtedy właśnie na farmie rodu Curry zjawia się zaklinacz deszczu — oszust z fantazją, poetycki hochsztapler. Tyle już razy potrafił wmówić naiwnym, że sprowadzi deszcz... Ale czy potrafiłby uczynić Lizę piękną?

I oto dochodzimy do sedna głęboko humanitarnej, poetyckiej komedii N. Richarda Nasha „Zaklinacz deszczu”. Bo — jak powiedziałem poprzednio — nie susza na polach stanowi główny problem tej uroczej sztuki, pokazanej nam w Sopocie przez Teatr Ludowy z Nowej Huty, bardziej znany jako „Teatr Skuszanki”, od nazwiska kierownika artystycznego. W sztuce tej chodzi o suszę w ludzkich sercach i zaklinacz deszczu do koniunie istotnie cucu wartego znacznie więcej niż suma 100 dolarów. Sprowadza błogosławiony deszcz do ser

ca Lizy, deszcz nadziei i wiary w siebie, przekonanie o własnej urodzie. Przecież „każda kobieta jest urodziwa na swój sposób” — jak twierdzi sięgany przez prawo obiecywiał i oszust Bill Starbuck alias Bill Smith.

N. Richard Nash jest młodym dramaturgiem, a sztuka „Zaklinacz deszczu” („The Rainmaker”) uważana jest za jego najlepsze dzieło. Sfilnowano ją nawet i otrzymała wówczas świetną obsadę. Oszusta Billa Starbucka grał Burt Lancaster („Ostatnia walka Apacza”, „Tra-per z Kentucky”), a Lizę — Katarzyna Hepburn („Uriop w Wenecji”). Premiera „Zaklinacza deszczu” odbyła się w roku 1954 w Nowym Jorku.

Sztuka Nasha daje nam po-znać drugi — pod względem tematycznym — nurt dramaturgiczny współczesnej Ameryki, po oglądaniu niedawno „Kapelusza pełnym deszczu”. Nurt ten wywiera zresztą specyficzny wpływ na sam warsztat pisarski i język utworów, co powoduje, że mówi się w krytyce o powieściach Południa i pisarzach Południa. Nash nie jest pisarzem Południa w pełnym tego słowa rozumieniu, jak Caldwell lub Steinbeck, ale jego sztuka „Zaklinacz deszczu” na pewno odpowiada całkowicie klimatowi tamtej literatury. Świetny przykład Ireny Babel powoduje, że socyści, prosty język farmerów staje się bardzo bliski polskiemu widzowi.

Teatr Skuszanki znany jest jako „teatr aktora”, a raczej „teatr zespołu”. Znana jest błażość w tym teatrze o wyrównany poziom gry aktorskiej całej obsady —

choć określenie „wyrównany poziom” drażni, niekiedy ambicje aktorów. Umiar, kultura warsztatu aktorskiego — daje tu o sobie wyrażenie znaczący na każdym kroku. Sztukę reżyserował Jerzy Krasowski, tworząc widowisko o bardzo specyficznych barwach nastroju, pamiętając o życzeniach autora, zawartych w artykule opublikowanym na łamach czasopisma „Theatre Arts”: „Wszystko powinno być w grze i reżyserii bardzo proste. Jak świat widziany przez soczewkę skupiającą obraz na samotnej twarzy Lizy i jej nadziejach. Świat można zobaczyć bardzo głęboko poprzez małe soczewki i poprzez filtr uczucia”. Dekoracje Józefa Szajny są może daleko bardziej uproszczone i bardziej umowne, niż życzył sobie autor, spełniają jednak żadaną rolę jeśli chodzi o pokazanie prostoty życia na farmie rodu Curry, zespolejonej z głęboką poetycką treścią konfliktu.

Na scenie zobaczyliśmy — Edwarda Rączkowskiego świetnie grającego rolę ojca Curry, Władysława Pawła wcielającego się jako Noaha Curry i Ferdynanda Matyska w rolę Jima. Lizę pokazała nam Anna Lutosławska, zastępcę szeryfa grał Tadeusz Szanicki, szeryfa — Edward Łada-Cybulski, a w roli Billa Starbucka wystąpił znany do-brze widzom Teatru „Wy-brzeże” utalentowany aktor Jerzy Przybylski.

Sprowadzenie Teatru Nowej Huty z „Zaklinaczem deszczu” uważać należy za przedsięwzięcie udane. Zobaczyliśmy istotnie ciekawą sztukę, pokazaną nam przez interesujący teatr.

S. Sierecki

Teatr Skuszancki w Sopocie

TEATR Krystyny Skuszancki z Nowej Huty przyjechał do Sopotu! Za-improvizowane spotkanie z zespołem nastąpiło w holu Teatru Kameralnego, gdzie teatr Skuszancki wystawił dziś „Zaklinacza deszczu” N. R. Nasha, i będzie kontynuował przedstawienia do 25 bm. „Objuczeni” walizami aktorzy nie okazali nawet cienia zniecierpliwienia wobec wizyty niespodziewanego gościa — dziennikarza, zaś wybitny scenograf teatru nowohuckiego i współtwórca jego licznych sukcesów scenicznych, Józef Szajna podzielił się z przedstawicielką „Dziennika” ciekawymi uwagami na temat teatru nowohuckiego i jego dotychczasowych osiągnięć.

— Jeszcze „czuję w kościach” premierę „Geniusza sierocego” Marii Dąbrowskiej, jej debiutu scenicznego. Równocześnie kierołem przygotowaniem do sopockiej premiery „Zaklinacza deszczu”. Tempo zaiste rekordowe, gdyż dopiero co ukończyłem scenografię do „Nieboskiej komedii” Krasińskiego w Łodzi, gdzie spektakl odniósł wielki sukces, zaś za kilka dni „wyskakuję” do Szczecina, aby dopiąć „na ostatni guzik” scenografię do „Cudotwórcy” Anatola Sтерна.

— Czy nie zechciałby pan zapoznać krótko czytelników ze swoją karierą scenograficzną?

— Po zdobyciu dyplomu grafika i scenografa w Akademii Krakowskiej, związałem swe losy z teatrem Skuszancki w Opolu w roku 1954, później zaś przeniósłem się wraz z nią do Nowej Huty, gdzie opracowywałem scenografię do szeregu sztuk, wyróżnionych później m. in. na festiwalach we Włoszech i w Paryżu. Za scenografię otrzymałem też w 1957 roku nagrodę „Przeglądu Kulturalnego”.

Jeżeli chodzi o „Zaklinacza deszczu”, to jest sztuka epicka, opierająca się w głównej mierze na aktorach. Chodziło mi o wydobyć z niej maksimum poetyki.

W jakim stopniu udało się to uzyskać, osądzą sami widzowie.

Naszej rozmowie przysłuchuje się się z zaciekawieniem bohaterka sztuki Nasha — Hanna Lutosławska, laureatka nagrody teatralnej Krakowa w 1955 r., obecnie aktorka teatru Skuszancki.

— To pani właśnie grę bezbarwną brzydą, jaką oglądałam na zdjęciach — mówię zaskoczona gdy artystka w „cywilu” odznacza się wyjątkowym wdziękiem i urokiem.

— Tak, to ja — śmieje się ubawiona p. Lutosławska. Proszę sobie wyobra-

zić, że mam kłopoty nie do pokonania, żeby zrobić z siebie nagle blondynkę — gdyż pełna kompleksów, brzydka, starzejąca się panica, jaką gram w „Zaklinaczu deszczu”, zazdrości innym kobietom pięknych, ciemnych włosów.

— To głupstwo — wtrąca wesoło Szajna. — Przede wszystkim trzeba postąpić w myśl powiedzenia autora, które brzmi: „uwierz w to, że jesteś ładna, a... będziesz ładna”.

— Postaram się — replikuje p. Hanna.

Julia Ziegenhirto